

8

Ciach go smykiem!

TOWARY NA EKSPORT

Cóż ja poradzę na to, że nie mogę się przekonać do tańca zwanego wyzwolonym! Pocieszam się, że nie ja jeden i że sam gatunek przeżył się już dość dawno, a jeśli gdzieś jeszcze — raczej poza Europą — utrzymuje się na powierzchni życia, to tylko dzięki tak wybitnym i upartym indywidualnościom, jak Marta Graham.

Całe owo „wyzwalanie” zaczęło się w początkach stulecia, od Isadory Duncan i niemieckiego reformatora tańca, Rudolfa von Labana. Obojgu chodziło o to samo, mimo że do celu dążyli różnymi drogami: o wyzwolenie tańca od krępujących rygorów techniki klasycznej i uczynienie zeń instrumentu podatnego do wyrażania wewnętrznych stanów emocjonalnych człowieka. Zwolennicy takiego ekspresjonizmu tanecznego, których w latach 1920 było sporo, odrzucili system ćwiczeń klasycznych całkowicie, co było wielkim błędem! Klasycy nie bez racji każą tancerzom, na przykład, w pierwszym arabesku podnieść nogę i wyciągać ją jak najprościej, wyciągając równocześnie podbicie stopy. Tak bowiem rozwinięte pas jest po prostu bardzo ładne. Teoretycy tańca wyzwolonego, pragnąc w swym reformatorskim zacietrzewieniu dać wszystko odmienne niż w klasyce, kazali i każą tancerzom podnosić nogę ze zgiętym kolaniem i palcami stopy podniesionymi ku górze, co wygląda po prostu brzydko.

Klasycy cały też wysiłek kładli w to, aby odpowiednim zespołem ćwiczeń uczynić ciało tancerza jak najlżejsze, niemalże wyswobodzone od prawa ciężenia. Tancerze „wyzwoleni” nie stosując owych ćwiczeń, są w rezultacie ciężcy, robią wrażenie niezgrabnych, nieporadnych.

Zdaje mi się, że każda sztuka własnymi środkami powinna umieć wyrażać bez reszty te treści, które wyrazić postanowiła. Dlatego, idąc na spektakl taneczny, nigdy przed jego rozpoczęciem nie czytam streszczenia akcji, która za chwilę ma się rozegrać na scenie, nie przeczytałem więc i przed obrazem tanecznym pt. „Rozmowy świętych” zaprezentowanym przez zespół pani Graham. W rezultacie zachwyciłem się dekoracją, lecz z akcji nie zrozumiałem nic a nic! Widziałem tylko parę osób w ładnych kostiumach, rzucających się konwulsyjnie po scenie i ze szczególnym upodobaniem tarzających się po podłodze. Dopiero potem, ze streszczenia, dowiedziałem się, iż chodziło im o ukazanie bohaterstwa i męczeństwa Joanny d'Arc.

Marta Graham cieszy się w Ameryce dużą estymą. Nie sądzę jednak, aby jej zespół eksportowany do Europy mógł zdobyć poklask i powodzenie. Raczej będziemy się zachwycali amerykańskimi „New York City Ballet”, „The American Ballet Theatre” oraz Baletem Robbinsa, które — wyzyskując zdobycze tańca wyzwolonego — opierają się przecież na technice klasycznej.

Tymczasem w Operze Warszawskiej dano nową premierę, musicalu Henryka Czyży „Białowłosa”. Przed wojną Teatr Wielki w Warszawie, chcąc ratować swą kasę, wystawił potworną operetkę „Książę Szirasu”, którą w recenzji nazwałem „Księciem Szmirasu”. Od tamtych czasów na scenie operowej warszawskiej nie widziałem nic gorszego aż do wieczoru, kiedy przyszło mi oglądać „Białowłosa”. Wszystkie elementy są w niej złe: większość muzyki cikliwej i rozwlekłej, choć — co rozumiałem u Czyży — doskonale zinstrumetnowanej i prowadzonej; scenografia, z wyjątkiem dekoracji w pierwszej i ostatniej odsło-

nie; choreografia po prostu żenująca, na poziomie prowincjonalnej operetki i wreszcie reżyseria, a raczej — jej brak.

Nie sądzę jednak, aby należało skończyć na samym tylko zganieniu widowiska. Problem jest skomplikowany i wart życzliwej, a nie wrogiej analizy.

Jak mnie informują, dyrekcja Opery Warszawskiej zwracała się kolejno do paru wybitnych reżyserów, którzy opracowania „Białowłosej” odmówili. U nas tak właśnie jest, że albo „Król Duch” i „Dziady”, albo odwracamy się od całej reszty sztuki z wyniosłą pogardą, zostawiając ją na pastwę przypadkowych losów. W rezultacie cieszymy się w gronie smakoszy „Czerwonym płaszczem” Luigiho Nono, w przerwach ubolewając, iż tak zwane masy nie tylko piją wódkę. Cyniczna obłuda! Lepiej pomyśleć, co by tym masom dać strawnego.

Będąc w Paryżu i w Londynie, miałem okazję widzieć amerykańskie, przesławne dwa musicale „Oklahoma” i „South Pacific”. Szły tam z nieprawdopodobnym powodzeniem, właśnie jako artystyczna strawa masowa. Osobiście muszę stwierdzić, że ich poziom muzyczny nie był o wiele wyższy od „Białowłosej”, natomiast właśnie reżyserzy amerykańscy zadbali o to, żeby cikliwą papkę muzyczną podać konsumentom przyrządzoną jak najefektowniej. Zrobiono wszystko, aby musicale błyszczały pełnym lśnieniem szychu i miały — rzecz nieodzowna! — nerw i tempo, czego tak brakuje „Białowłosej”.

Jeżeli chcemy, żeby ogromna widownia przyszłego Teatru Wielkiego w Warszawie była stale zapełniona, nie powinniśmy ukatrupiać „Białowłosej”, a raczej poddać ją niezbędnej kuracji. Moim zdaniem należałoby usunąć mniej więcej jedną trzecią muzyki, jak najwięcej okropnych tekstów mówionych, dodać blasku dekoracjom i kostiumom, i całkowicie przerebić choreografię. Myślę, że w rezultacie powstałby musical nie gorszy od amerykańskich, może nawet z szansą na zdobycie rynków zagranicznych, bowiem zasadniczy pomysł fabularny „Białowłosej” jest ciekawy, oryginalny i nowoczesny.

Póki co, przenoszę się jeszcze na chwilę wspomnieniem do Poznania, gdzie Stefan Stuligrosz opowiadał nam o bliskiej podróży do Ameryki swego znakomitego Chóru Chłopców i Męskiego. Wyprawa trwać będzie od połowy lutego do połowy kwietnia i obejmie 31 koncertów w USA i Kanadzie, łącznie z paradnym występem w nawojorskim Carnegie Hall, zatem nie byle co!

Chór Stuligrosza zaangażowany został przez czołowego amerykańskiego impresaria Saula Huroka, który jednak też musi liczyć się z gustami publiczności chodzącej na koncerty w USA. Dlatego Chór, tak anielsko śpiewający starą muzykę zwłaszcza polską, na Amerykę będzie musiał przygotować... Walca Asdura Brahmsa, „Serenadę” Schuberta, „Kolysankę” Mozarta, „Po niesporach” z opery „Halka” i Mazura ze „Straszego Dworu” Moniuszki.

Złapawszy dopiero publiczność amerykańską na te pyszności, jak na chytrą wędę, „Słowiki Poznańskie” będą miały prawo resztę programu zapełniać pieśniami Wacława z Szamotuł, Mikołaja Gomółki, Zieleńskiego czy Palestriny.

Dobre i to!

JERZY WALDORFF



Białowłosa (Zofia Rudnicka) — egzotyczna mieszkanka innej planety, podejmowana uroczyście na Ziemi.

Fotoreporterzy na aerodromie, przed startem rakiety, która z innej planety przywiozła na Ziemię Białowłosa.

